№ 45. Warszawa, dnia 7 Listopada (26 Października) 1896 roku. Rok XXXVIII.



Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2 Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Gamaston.

WIARA...

FRAGMENT Z ŻYCIA.

Tyś mego życia uroczą wiosną,
Jutrznią świetlaną, pogody gońcem,
Jesteś mi nieba mojego słońcem,
Marzeń mych tęczą, pieśnią miłosną...
Ben.

Nieustające deszcze i zimna panujące w galicyjskich i węgierskich uzdrowiskach, ulewy i powodzie w Szwajcaryi, pędziły mię coraz dalej na Południe; nareszcie w Abbazyi zobaczyłem słońce, jasne, złociste, życiodajne słońce, do którego przez dwa miesiące tęskniłem. Cudna natura, imponujące skały, góry umajone pięknemi roślinami, cicha, spokojna lazurowo-szmaragdowa roztocz Adryatyku, przedstawiały się tak wspaniale, że błogosławiłem galicyjsko-węgierskie ulewy i helweckie powodzie, które zagnały mię w ten uroczy zakątek.

Starałem się wyzyskać każdą godzinę pobytu, zwłaszcza, że wiele czasu przed sobą nie miałem. Spacery uroczym brzegiem zatoki do pobliskich wiosek portowych: Laviany, Iki lub Valosci, wycieczki przez góry do miasteczka Castui, lub wreszcie przejażdżki łódką po morzu, wypełniały całkowicie dni; nieraz dopiero późnym wieczorem wracałem do domu głodny, ale nasycony wrażeniami i upojony cudnymi widokami.

W pierwszych dniach pobytu wycieczki odbywałem sam; trzeciego dnia, idąc do Iki, usiadłem nad brzegiem morza, wpatrując się w szeroką, czarną, lśniącą jak smoła, lekko drgającą wstęgę wody, która wyróżniała się na modrej powierzchni morza; to silne oświetlenie i odbicie promieni słońca wytworzyło ten kontrast. Siedziałem dość długo, a zapatrzony w przestworze nie zauważyłem, że przy ławce stanął jakiś jegomość.

Zwróciłem głowę i zobaczyłem mężczyznę trzymającego ryżowy kapelusz w ręku i ocierającego pot z czoła. Włosy na głowie miał zupełnie siwe, a duże wąsy i przystrzyżona broda były mocno szpakowate; wysoki, o ostrych rysach twarzy, zwrócił ku mnie oczy, wzrok nasz spotkał się; pomimo, że nieznajomy miał przeszło sześćdziesiąt lat, wielka energia i stanowczość malowała się w jego oczach i twarzy. Skłonił głowę i mówiąc:

— Io domando scusa — usiadł na ławce.

Z wymowy odrazu poznałem, że Francuz, i odpowiedziałem w jego rodowitym języku:

— Bardzo proszę.

Ojczysta mowa wywołała lekki uśmiech na jego usta.

— Nas — mówił łagodnym głosem, — zawsze wymowa zdradzi; ledwie wyraz wymówimy, Włoch pozna Francuza.

— Nie jestem Włochem — odrzekłem i zaczęliśmy gawędę.

Ponieważ stary szedł w stronę Iki, poszliśmy razem. Mimo znacznej różnicy lat harmonizowaliśmy ze sobą, obaj jako miłośnicy natury; o niej więc wyłącznie rozmawialiśmy, zwracając jeden drugiemu uwagę na ten lub ów szczegół, willę lub domek wyzierający gdzieś wysoko z zieleni, nieforemną skałę wrzynającą się w morze, i tak gawędząc znaleźliśmy się w miniaturowym porcie Iki, gdzie nad brzegiem w austeryi podano nam karafkę miejscowego wina.

Towarzysz mój był bardzo poważny, spokojny, ruchy miał nerwowe, twarz jakąś zmęczoną, ale patrząc w nią pomyślałem:

— Musiał być kiedyś bardzo przystojny.

Popijając istryjskiego cienkusza, gawędziliśmy o wzroście Abbazyi, która dopiero trzynasty rok jako miejsce kuracyjne zaczynała. Zaproponowałem powrót łodzią, towarzysz chwilę pomyślał, spojrzał na mnie jakoś dziwnie, ale się zgodził. Zeszliśmy z ogródka austeryi na pomost i wsiedli do białej łodzi z czerwonymi materacykami. Miałem zamiar wiosłować drugą parą wioseł, które przewoźnicy zawsze mają w łodziach, ale mój towarzysz uprzedził mię, ujął wprawną ręką wiosła i popędzając łodziarza:

— Forte piu prèsto! — wiosłował silnie, równo i z wielką gracyą.

Łódź pchana siłą czterech wioseł, szparko mknęła po równej powierzchni zatoki. Patrząc z jaką wprawą i siłą mój towarzysz wiosłował, zapytałem:

— Zapewne pan często używa sportu wioślarskiego?

— O, nie — odrzekł, — ale urodziłem się nad morzem.

W niespełna godzinę wysiedliśmy na kamienne schody parku w Abbazyi. Podziękowałem za towarzystwo i żegnając podałem mój bilet wizytowy; stary również dając swoją kartę, ścisnął dłoń, mówiąc:

— Jestem bardzo szczęśliwy ze znajomości, może pan zechce częściej ze mną razem chodzić.

Rozeszliśmy się, obejrzałem otrzymany bilet i przeczytałem na nim: Louis Michel Duprat de Bréhat.

Nazajutrz spotkałem go w towarzystwie młodej, bardzo eleganckiej damy i starego sługi idącego za niemi.

Przy powitaniu zatrzymał się i przytrzymując moją rękę, przedstawił córce Janinie.

— Bardzo jestem panu wdzięczną — mówiła, — za towarzystwo dla ojca, tem więcej, że on jest bardzo nietowarzyski, a pan tak miłe na nim zrobiłeś wrażenie; właśnie przed chwilą żałował, że nie spytał pana o adres, chciał go zobaczyć.

— Tu wszak nie trudno spotkać się — odrzekłem, — jestem bardzo szczęśliwy, żem na

ojcu sprawił przyjemne wrażenie, pragnąłbym również, aby i na córce takież sprawić.

— Nie wątpię o tem — odpowiedziała, zwracając ku mnie duże piwne oczy, okolone długiemi wygiętemi rzęsami.

Janina wyglądała na lat trzydzieści, szatynka, o delikatnej cerze, ubrana nadzwyczaj starannie, ale czarno, była bardzo dystyngowaną, a twarz jej wyrażała dobroć i łagodność. Idący o dwa kroki stary służący w liberyi niósł okrycia.

Poszliśmy razem przez park, minęli port i weszli na „Strandweg,“ wiodący do Volosci; ponieważ droga jest dość wązka, przeto nie mogliśmy iść we troje obok, i wkrótce usiedliśmy na ławce, a gawęda zabrała nam przeszło godzinę. Dowiedziałem się, że Janina jest panną, że ojciec był wojskowym, że mają dużą posiadłość w północnej Francyi; jedno jednak zostało nie wytłómaczonem: dlaczego przyjechali do Abbazyi, mając w swoim kraju różne morza i przepyszny klimat.

Stary mówił nie wiele, bezustannie wpatrywał się w morze.

Nazajutrz od rana była burza. Po południu, gdy trochę obeschło, poszedłem z wizytą do de Bréhat'ów, mieszkali w bardzo pysznej wiili, zajmując całe pierwsze piętro. Wchodząc na schody, spotkałem pana Krzymuskiego, znajomego z Krakowa, którego widziałem kilkakrotnie.

— Dzień dobry — witał, — a dokąd to pan zdąża?

— Do pana de Bréhat — odrzekłem.

— To pan zna tego waryata?

— Waryata?

— To pan nie wie? ten stary Francuz, co tu mieszka z córką, to waryat; trzeba było słyszeć co dziś wyprawiał, jaki tam był krzyk i wycie!

Bardzo zdziwiony poszedłem na górę, otworzył mi drzwi stary sługa. Widziałem jego zakłopotaną minę.

— Pan chory — mówił.

Sięgnąłem do kieszeni po bilet, gdy za stojącym lokajem ukazała się Janina.

— Proszę, niech pan wejdzie — mówiła, wyciągając na przywitanie rękę.

Wszedłem do salonu i usiedliśmy.

— Ojciec bardzo chory? — pytałem.

— O nic poważnego — odrzekła smutno, — teraz już daleko lepiej, zasnął.

Pragnąłem zbadać kwestyę i dlatego mówiłem:

— Wchodząc tu do domu spotkałem mego znajomego, mieszkającego tu, na dole, mówił mi że...

— Co mówił? — oniemal, że krzyknęła przerywając.

— Że, że ojciec miał jakiś silny atak nerwowy...

Janina trwożliwie spojrzała na mnie.

— Ojciec — mówiła cicho, — przez dwadzieścia cztery lata był chory, ale od dwóch lat jest zupełnie zdrów, tylko czasem, podczas burzy miewa jakieś niepokoje; ale i te od dawna się nie powtarzały. Dziś w nocy byłam mocno zatrwożoną, ale, dzięki Bogu, prędko przeszło i ojciec śpi spokojnie.

Od tego dnia coraz więcej zbliżałem się z ojcem i córką, z nim częste robiliśmy spacery, rano wychodziliśmy i wracali koło pierwszej, kiedy Janina przychodziła z morskiej kąpieli. Po obiedzie robiliśmy wycieczki we troje, łodzią lub powozem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



4 Listopada 1896 roku.

W pierwszej połowie Października, nowości zimowe wystąpiły na widownię w wielkich magazynach tutejszych, mamy dziś przed oczyma tysiące nowych tkanin, pełne rozmaitości. Zacznijmy sprawozdanie nasze od panujących kolorów. Z ciemnych najpowszechniej używane: tabaczkowy (*hawanna*), zielony w rozmaitych odmianach, morderowy, rodzenkowy (*raisin de Corynthe*), fijołkowy w odcieniu granatowym; z jaśniejszych: miedziany, (*chaudron*), popielaty, (*gris argent*), heliotropowy i skórki duńskiej. W jedwabnych materyach do wielkiego ubrania, obok blado różowego i blado niebieskiego, przeważają kolory: brzoskwiniowy, morelowy, zielonkowaty (*vert du Nil*), słomkowy i kości słoniowej (*ivoire*).

Taż sama rozmaitość uderza nas i w kroju sukien. Spódnice jedne płaskie z przodu, fałdowane tylko od boków, inne znów dokoła nafałdowane. U jednych rękaw jeszcze rozniesisty, u innych, i to w większości, wązki, przybrany u ramienia wolantem, buffą lub wielką kokardą. Staniki jedne zachodzą wysoko pod szyję, inne otwarte z przodu z szeroko wyłożoną klapą. Miejsce szmizetek zastępuje kaftaniczek *Bolero*, nie sięgający stanu. W paskach równe odmiany, od jednych długie szarfy przewiązane z boku, spadają aż do ziemi, inne z odwróconym na przodzie bawetem, wiążą się w tyle na kokardę, inne znów na parę cali wązkie, obciskają stanik, spięte na przodzie metalową klamerką.

Przypatrzmy się teraz nowym tkaninom, przyjętym na suknie i kostyumy. Zaczynamy przegląd od jedwabnych materyj. Do najmodniejszych należy dziś mora, zupełnie odmienna od dawnej, mieniona w dwóch odcieniach jednego koloru, wyciśnięty na materyi deseń, tworzy to gałązki, to płomyki, to znów paski albo fantastyczne gzygzaki. Niekiedy na tej morze przechodzą atłasowe pasy, lub atłasowy, strzępiasty deseń w jaśniejszym odcieniu. Oto kilka odmian, które szczególniej wpadły nam w oko.

Mora szafirowa, fijołkowa, pasy na niej czarne atłasowe w odstępach, szersze i węższe na przemiany; piaskowa w pasy śmietankowe; heliotropowa w pasy blado lilla, na innej znów rzucane bukiety *chiné* w rozmaitych kolorach.

Do zwyczajnego ubrania, ukazała się nowa zupełnie mora dość lekka, złożona z jedwabiu i bawełny. Na tle zielonem, morderowem, szafirowem i t. p., przechodzi drobniuchna kratka czarna, wycięta na tem mora, tworzy delikatne gałązki, które przez sam wycisk przybierają jasną, połyskującą barwę. Inna znów zamiast kratek, zasiana cała w białe lub jasne punkciki.

Pierwszą nowość tegoroczną, stanowią materye mienione w dwóch albo trzech kolorach. Na ciemnem tle wije się niby wstążka na cal szeroka, wystrzępiona po brzegach; na tle na przykład czarnem, faluje w różnych zakrętach, wstążka jasno zielona (*vert lumiere*) rubinowa, lub złotawa, ślicznie to wygląda przy świetle. Niekiedy wstążka ta czarna na tle czarnem obwiedziona tylko w strzępiaste ząbki rubinowe, zielone i t. d.

Na suknie do wielkiego ubrania, tło tej materyi zazwyczaj jasne: morelowe, blado-różowe, srebrno-popielate, w wijący się deseń śmietankowy.

Przejdźmy teraz do wełnianych wyrobów. Niektóre z nich mięszane z jedwabiem służyć mogą na strojne suknie. Widzimy je na przykład w wielki ciągniony deseń. Tło zwykle czarne w rodzaju rypsu; na to idą gałązki przerabiane jedwabiem, jakby aplikacya z gładkiej materyi w kolorach: miedzianym, srebrno-popielatym lub wszystkich odcieniach zielonych. Niekiedy w czarne tło wsnuta nitka metalowa tworzy błyszczące punkciki, ztąd wyrób ten zowie się iskierką (*étincelle*).

W mniej strojnych tkaninach wełnianych wielka panuje rozmaitość, zastosowana do gustu i potrzeby. Jedne z nich zwane *notté*, ostre, sztywne, podobne do plecionki z jakiej wyrabiają koszyczki, inne znów miękkie włochate, z wełny angora, przerabiane w różnokolorową kratę, która znika pod długo wypuszczonym włosem, inne z grubej mienionej kanwy, przerabianej w białe jedwabne centki albo kreski. Wyliczyć niepodobna tych wszystkich fantastycznych pomysłów, dodajmy tylko, że i wyroby gładkie: sukienko, wigoń, szewiot i kaszmir wielkiej używają wziętości.

Z opisanych powyżej tkanin, widzieliśmy już piękne suknie, wykonane w zakładzie krawieckim pani Elizy Petit, dajemy tu szczegółowy ich opis.

Suknia wigoniowa na tle ciemno-zielonem w wijący się wielki jedwabny deseń w jasnem odcieniu. Spódnica bez garnirunku, fałdowana dokoła. Stanik gładki, nieco otwarty, przody zaokrąglone u dołu. Z pod otworu wygląda plastron różowy (*vieux rose*), ujęty w pasek aksamitny z bawetem koloru *bordeaux*. Takiż aksamitny wyłożony kołnierzyk; pod nim fryzka z walencienki. Rękawy wązkie, od ramienia spada buffa lekko nafałdowana.

Druga suknia z gładkiego szewiotu, w kolorze skóry duńskiej, nie odcinana w stanie. W górze idzie karczek, zakończony z przodu i na plecach, ruszką z materyi jedwabnej tegoż koloru. Ztąd spadają dokoła bryty nafałdowane, tworzące razem stanik i spódnicę; obciska je pasek jedwabny, szeroki w tyle, zwężony z przodu, spięty na klamrę złożoną z dwóch metalowych guzów. Rękawy wązkie; od ramienia do łokcia dany nafałdowany wolant, pokrywa go w górze epolet objęty ruszką jedwabną.

Trzecia suknia z mory półjedwabnej w kolorze heliotropowym, w drobną krateczkę czarną. Na gładkim staniku, krótkie Bolero z aksamitu w kolorze mchowym (*mousse*), otwarte z przodu, ze złotym hafcikiem do koła. Kołnierz u niego szeroko wyłożony. Rozchodzące się przody, złączone na piersiach kokardą heliotropową. Rę-

kaw wązki, od ramienia spadają dwa wolanty z koronki szarej. Takaż namarszczona koronka, zakończona w ząb u dołu, wybiega z pod otwartego bolera i sięga poniżej stanu.

Czwarta suknia czarna morowa, w szeroko wyciśnięte gałęzie. Spódnica gładka rozniesista od boków. Stanik płaski, obciśnięty szeroką szarfą aksamitną, spiętą z boku na złotą klamrę i kokardą z długo spadającemi końcami. Cały stanik pokrywa wielki kołnierz rozszerzony na ramionach i plecach, z przodu wązko, sięgający do pasa. Rękawy niezbyt bufiaste aksamitne, ścięte od łokcia, zakończone mankietem koronkowym.

Piąta suknia z wigoniu szarego w czarną jedwabną kratę. Tak spódnica jak stanik i rękawy, krajane ukośno. Stanik pod szyję, środkiem wzdłuż namarszczony, od dołu podniesiony w górę. Z pod tego widać pas aksamitny czarny z odwróconym bawetem. Na przemarszczeniu stanika wpięte dwie złote brosze. Kołnierzyk czarny aksamitny z odwiniętemi rożkami. Rękawy płaskie, na ramionach upięte niewielkie buffy.

Wystawa okrywek futrzanych zapowiedziana w magazynach na połowę Listopada; skoro tylko otwartą będzie, pośpieszymy ze sprawozdaniem, nie czekając na Grudzień. Dotąd ukazują się tylko małe rotundy i palatynki, złożone z dwoistego futra: czarne astrachanowe okładane białym futrem kozy indyjskiej, i wydrowe objęte szeszyllą.

Paletociki szerokie, bez wcięcia coraz się częściej ukazują. Strojniejsze aksamitne obłożone zwykle tumakami lub bobrem, inne znów z szewiotu obszyte pasem wydry lub astrachanu.

Manszoniki średniej wielkości, astrachanowe okładają białą angorą.

Seweryna Duchińska

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Minęli stragany zastawione wędlinami, które prażone na słońcu wydzielały z siebie woń niemiłą, tłustą, poczem posunęli się w stronę cerkwi, na której błyszczał i mienił się złocony krzyż wielki, wreszcie okrążywszy świątynię, stanęli w tłumie widzów.

Jakiś ogromny cygan, łypiący groźnie błyszczącemi oczyma, grał na flecie jedną z tych dzikich, wschodnich melodyj, które na nieprzywykłe ucho, bardzo przykre wywierają wrażenie. Tuż obok niego stała młoda, zgrabna cyganka ubrana w czerwoną spódnicę i czerwony stanik, cały oszyty kółeczkami złoconemi, które za każdym jej ruchem wydawały szelest charakterystyczny. Cyganka uderzała w bębenek, i śpiewając coś po mołdawsku tańczyła razem z dwoma chłopcami, klaszczącymi do taktu w dłonie. Dziwnym był ten taniec, niby bezładny a tak jednakże pełen harmonii. Dziewczynie tylko nogi skakały, drżały, a wiotka jej figura zgrabna zataczała się to w jedną, to w drugą stronę, raz szybko, drugi raz wolniej.

W tej muzyce i w tym tańcu było tyle zapału, że ten mimowoli udzielał się otaczającym.

Gwar ustał, zapanowała cisza, słychać już było tylko coraz to żywszą i gorętszą muzykę, odgłos rytmiczny kastanietów i szelest nieustanny poruszanych w tańcu kółeczek mosiężnych, zdobiących stanik i spódnicę tancerki.

Twarz śniada cyganki pałała, oczy błyszczały, paliły się, bębenek drżał w ręku lewem, a ona tańczyła coraz to namiętniej, coraz to prędzej, tak jakby pragnęła w tym wirowym, szybkim ruchu zapomnieć o wszystkiem. Nie zważała też na nic, na nikogo; w każdem poruszeniu jej grała najwyższa swoboda. Nagle rozległ się przeraźliwy gwizd fletu, cygance kastaniet z ręki wypadł, szybko go jednak podniosła i pomimo zmęczenia, które jej oddech tamowało, chodziła naokoło, i zbierała rzucane datki.

— Jaka ona ładna!—zawołał elegancki pan Antoni, — ile w niej życia, ile poezyi...

I uśmiechnął się do brata, który rzuciwszy cygance kilka monet nie mówił nic, jakby ujęty czarem tańca cygańskiego. Wreszcie rzekł:

— Istotnie, śliczna dziewczyna! Już kiedy cyganka piękna, to piękna jak marzenie. Ale też tańczy, tańczy... gdyby anioł. Niech się schowają wszystkie wasze baletnice wiedeńskie.

— Tym razem przyznaję ci racyę, tańczy, no, nie zwykle, a tak jakoś poetycznie, tak namiętnie, jakgdyby chciała tymi ruchami myśl jaką wyrazić.

— Dobrze żeśmy tu przyszli zobaczyć to dziwo.

— A bardzo dobrze. Jabym jeszcze raz temu się przypatrzył, gdyby można.

— Dlaczegóżby nie można.

— Jak?

— Zwyczajnie! zawołamy cyganów do Muńki, każemy uprzątnąć najczystszy pokój i będziemy mieć przedstawienie.

— Znakomicie, a to mi zrobisz przyjemność prawdziwą, mój Jasiu.

W tem o uszy ich obiło się sykanie głośne z tyłu, odwrócili się i zobaczyli czterech mężczyzn śpieszących naprzeciwko nim.

Na przodzie postępował otyły Aleksander Stepanowicz Russo, jowialny mołdowan, rej wodzący na wszystkich jarmarkach i zjazdach w powiecie. Za nim szedł Domaszkan stary z synem i pan Ludwik Demianowicz, gospodarujący na dużej dzierżawie—młody, przystojny człowiek.

Russo z daleka już wołał po rusku, gdyż czysto po rumuńsku nie mógł się z sąsiadami rozmówić, a po polsku nie umiał:

— Dokąd tak pędzicie, bracia syamscy? Zaczekajcie na nas.

Domawiając tych słów, już był przy nich, ściskając serdecznie za rękę jednego i drugiego brata.

— Jak się miewacie, Iwanie Samuelowiczu?

— Dzięki Bogu, jak widzicie nie źle.

— A to dobrze. Dawnożeśmy się nie widzieli; przywieźliście brata do Otak?

— Tak, niech pozna lepiej naszą Bessarabię.

— Naturalnie — potwierdził, śmiejąc się dobrotliwie Rumun, — ale wam się panie Antoni, może tu nudzić po Wiedniu. Ba, ba, co za porównanie, pamiętam ja dobrze to ogromne miasto nad sinym Dunajem, nigdy go nie zapomnę.

I mówił dalej do Antoniewicza, unosząc się nad cudownem położeniem Wiednia, nad jego ringami i bulwarami. Inni słuchali śmiejąc się z wybuchów swego wodzireja. Tylko stary Domaszkan, wziąwszy na bok pana Jana, coś mu szeptał na ucho. Widocznie cicha ta rozmowa dotyczyła koni, bo obaj stary i młody mieli pasyę do nich; znać to było po ożywionym wyrazie twarzy pana Jana, zapominającego o istnieniu świata, na samą wzmiankę o jakimś nadzwyczajnym końskim okazie.

Domaszkan był teściem Antoniewicza, a ponieważ go w dodatku lubił, więc starał się całe swoje koneserstwo przelać na zięcia. Oprócz tego chcąc młodemu człowiekowi po śmierci swej zostawić stajnię wspaniałą, słynną w okolicy całej, powoli przyzwyczajał go do przyszłego dziedzictwa, wspólnie z nim zakupując różne rzadsze egzemplarze.

— Cóż tak stoimy? — zawołał stary Domaszkan. — Chodźmy na targ koński, przynajmniej będzie co oglądać, dosyć tego gapienia się na chłopską gawiedź, kuglarzy i tanecznice.

W odpowiedzi na to, Russo poklepał go po ramieniu mówiąc:

— Samuelu Kajetanowiczu, powiedzcie: czy nam się naprawdę spieszy do koni? Mnie one wcale nie obchodzą, wolę się po majdanie włóczyć i wypatrywać piękne cyganki.

— I ja także—wtrącił młody Domaszkan, — już tam tatko za mnie wszystkim koniom w zęby zajrzy, a co lepszego, to do Rewania przywiezie.

— Ja te wszystkie konie znam, widzę je co wtorek — gardłował chudy Demianowicz, — lepiej się tym tańcom przypatrywać, niźli wąchać nawóz koński i żydowskie wyziewy.

— Wszyscyście wy tacy mądrzy, jak mołdowańskie czapki! — wołał śmiejąc się stary. — Idźcie, oglądajcie cuda razem z chłopami, a ja tymczasem pójdę do koni z Jasiem.

— Szczęśliwej podróży i przyjemnych wrażeń — wołał Russo, żegnając ręką przeciskających się między straganami zięcia i teścia, i ruszył w przeciwną stronę z resztą młodego towarzystwa.

Młody Domaszkan szedł przodem, rozmawiając wesoło z Demianowiczem, za nimi, w odległości kilku kroków postępował pan Antoni z Russem.

Rozmowa starego mołdawianina z młodym elegantem była snać wesoła, bo co chwila towarzyszył jej śmiech głośny. Russo miał talent gawędziarski, więc Antoniewicz z przyjemnością słuchał jego anegdot przygodnych; bawiły go one, odznaczały się bowiem prawdziwym dowcipem mołdawskim, tak różnym od wiedeńskich praterowych witzów, które go już znudziły porządnie.

— A gdzie Domaszkan z Demianowiczem? — zawołał nagle Russo.

— Nie widać ich.

— Musieli zniknąć w tłumie, i jeden i drugi mają swoje interesa i swoje fantazye, znam ja ich znam.

— I dokądże pójdziemy? — spytał po chwili Antoniewicz, patrząc na zegarek. — Druga dochodzi.

— Dla mnie wszystko jedno, interesa już załatwiłem, a wracać dzisiaj do domu nie myślę.

Wieczorem urządzimy sobie winta, zabawę jakąś w tym guście.

— A mnie się jeść chce, pora obiadowa nadchodzi.

— Więc jedźmy na obiad?

— Dokąd?

— Chyba do Mohilowa, tam teraz jest lepsza kuchnia u tego Miłeckiego, a przynajmniej na czas jarmarku rabuś trzyma lepszego kucharza.

— Dobrze. Jazda do Mohilowa! Tylko uprzedzam pana, ja tam nie zostanę długo, bo dzisiaj wieczorem muszę być w domu. Zjemy obiad i przeprawimy się napowrót do Otak. Jaś pewnie zamówi pokój na te cygańskie tańce.

— Wybornie, jestem pewny, że zamówi, jeżeli już nie dla siebie, to przynajmniej dla brata żądnego wrażeń stepowych.

I śmiał się wesoło, dobrodusznie, bez cienia nawet tej złośliwości, która właściwą jest rasie wołoskiej.

Stanęli nad rzeką. Dniestr wartko unosił wody swoje ku morzu, cały zalany błyskami słonecznego światła; toczył się równo i spokojnie, bo wiatru nie było. Patrząc zdaleka zdawało się, że to nie woda, lecz jedna całkowita ruchoma wstęga lustrzana. Z jednej strony Mohilów, rozsiadły na wapiennym wzgórku, cały w zieleń drzew spowity, a z drugiej Otaki mołdawskie na pustym stepie rzucone, odbijały się i przeglądały w Dniestrze.

Na rzece panował ruch niezwykły. Promy, łódki, czółna, czółenka płynęły nieprzerwanym sznurem jedne ku Otakom, drugie ku Mohilowowi. Ze wszystkich stron słychać było nawoływania, krzyki, hałasy; zdawało się, że spokojną, marszczącą się złotawo rzekę rój waryatów osaczył i męczył—gniótł. Ludzi wszędzie było pełno: jedni schodzili z promów i łódek, inni wchodzili na nie bez przerwy.

— Jaki tu ruch ogromny!

— Tak zawsze bywa na każdym jarmarku; jedni jadą do Mohilowa, inni z Mohilowa, każdy zajęty sobą lub swoimi.

— A co to za budynki jakieś, tam nad rzeką? — zawołał naraz Antoniewicz, pokazując ręką na wznoszący się nad samym brzegiem wysoki czworobok drewniany.

— To magazyny, panie, magazyny zbożowe.

— Tego dawniej nie widziałem.

— Bo też one nie dawno postawione przez Ohanę, o którym pan pewnie musiał już słyszeć.

— Ach, to są składy zbożone tej nowo założonej spółki bessarabskiej?

— Ormiańskiej, kochany panie, bo Ohana wszystko, cały interes zatrzymał w ormiańskich rękach. Tęgi z niego człowiek, powiadam panu, głowę ma do interesów, jak dziesięciu Greków i Żydów razem.

— Więc to on wystawił?

— On, chociaż niby urzędowo cała spółka znajduje się pod zarządem Szymonowicza, zięcia pana Kajetana.

— I jakże to idzie? — spytał pan Antoni.

— Podobno świetnie. Skupują całymi tysiącami pudów pszenicę i dostawiają na odesski rynek. Nie wiem, ile to prawdy, ale zyski mają być ogromne. Słusznie mówią, że Ormianie potrafią z niczego zrobić coś; ale ten Ohana przeszedł wszystkich. Zna pan jego dziwną historyę?

— Słyszałem coś o tem, opowiadano mi. Jego samego widziałem kilka razy, rzeczywiście on może imponować.

— I imponuje niewątpliwie. Niech pan powie, nasz brat z krociami na dziady wychodzi, tak jak ten Sabescu, od którego Ohana Nikoreszty kupił, a Ormianin zdoła z powietrza ściągnąć tysiące, miliony. O tym Ohanie wszyscy tu teraz rozprawiają, jak o jakim cudzie, jak o kimś niezwykłym; to człowiek obecnie najpopularniejszy w całym powiecie.

— A oto i oni — dodał Russo, pokazując ręką na idących ku rzece Ohanę i Szymonowiczów. — Oho! i pani Szymonowiczowa również przyjechała na jarmark. Ohana się koło niej kręci, nic dziwnego młoda, przystojna, a co najgłówniejsza, to tam do nich obojga przyczepiona jest jakaś romantyczna historya z lat dawnych. Kto wie, może wspomnienia drażnią zmysły, przyspieszają krwi obieg i denerwują. To wszystko, panie—możliwe bywały wypadki.

Antoniewicz zdawał się tego nie słyszeć; przyglądał się różnobarwnemu tłumowi chłopów, wchodzących na prom szeroki. Jedni drugich popychali, posuwali, kułakowali, każdy chciał być pierwszy, nikt nie ustępował. Przewoźnicy, wsparci na długich wiosłach pilnowali porządku i liczby, lecz nie słuchano ich; wydawało się, że ludzie ci nic nie rozumieją, głusi są, choć wrzeszczą.

— No, jedźmy panie do Mohylowa, póki łódź jaka jest wolna, bo możemy czekać znowu z kwadrans, zanim druga zawinie do brzegu.

— Zaczekajmy — zawołał Russo, — zaczekajmy na tę trójkę, przywitamy się z Szymonowiczami, przyjrzymy się Ohanie, temu dziwu modnemu na stepach naszych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Władysław Sterling

SONET.

WIERZĘ.

Wierzę wiarą serdeczną niezmiennie i święcie,
Że jest odwieczna wola, światów wszechmistrzyni,
I wierzę, że ta wola od wieków ład czyni,
Ukształtowawszy wszechświat w atomów odmęcie.

I wierzę, że na jedno anioła zaklęcie,
Ozwie się głos potężny, jak choral w świątyni,
Który zdradę o zdradę, fałsz o fałsz obwini,
I że wtenczas dusz czystych będzie wniebowzięcie.

I wierzę, że tu miłość na ziemi istnieje,
Która człowiecze serca od zwiędnięcia strzeże,
I wierzę w promieniste, motyle nadzieje,

Co na losu pogromy są, jako puklerze,
I w łzy, co nad dzieciny czołkiem matka leje...
Lecz tylko w jedno szczęście człowieka—nie wierzę.

Kalejdoskop Muzyczny.

II.

Libretta i libreciści.

(Dokończenie.)

O ile najsławniejszy współczesny krytyk niemiecki podnosi działalność Scribego, jako librecisty, o tyle Francuzi sami potępiają go surowo, dowodząc, iż współpracownictwo jego szkodziło wielu kompozytorom, nadewszystko zaś Auberowi, którego lekka, pełna wdzięku, prostoty i szlachetności muza nie odpowiada bynajmniej talentowi dramaturga. Ludwik Veuillot, mianując go banalnym, pospolitym mieszczuchem, pozbawionym nietylko świeżości pomysłów ale i świeżości uczuć, pisze o nim:

„W Paryżu, w Londynie, Wiedniu, Medyolanie, Irkucku, w stolicach i małych miasteczkach, wszędzie, gdzie tylko słyszeć się daje jakikolwiek język europejski, i gdzie z desek na kozłach urządzają ludzie prowizoryczną scenę, wszędzie grają Scribego. Aktorzy mogą nie mieć talentu, publika — wykształcenia, teatr — kostyumów i dekoracyj; sztuka połyka się prędko, jak ostryga; pomimo pospolitości bowiem, słuchacz ma przed sobą żywy wątek sceniczny.

„Największy talent i umiejętność Scribego polega na narzuceniu słuchaczom ryzykownych sytuacyj. Zdołał on tak dalece owładnąć wstydliwością parterowej publiki, że obecnie nie ma dla niej scen zbyt śmiałych i hazardownych."

Słowa powyższe stosują się głównie do dramatów i komedyj, zaznaczają wszakże tak wyraźnie niechęć rodaków do utalentowanego autora, że trudno je pominąć. Cokolwiek powiemy o zgasłym ćwierć wieku temu dramaturgu, znaczenie i doniosłość wpływu jego w dziedzinie opery nie ulega zaprzeczeniu. Dziś romantyczne, szeregiem nieprawdopodobieństw napiętnowane, często logiki i prawdy psychologicznej pozbawione jego teksty przeżyły się niewątpliwie, i trwają tylko w melodyach, do których przywykło ucho, nie bacząc na podkład słów i akcyi. W każdym razie jednak podziwiać należy zaznaczoną przez Hanslicka giętkość umysłu poety, niesłychaną łatwość wydobywania efektów scenicznych, i ten nerw dramatyczny, bez którego opera upada obecnie.

W ostatnich czasach, stałego librecisty nie ma w Europie; teksty do oper powstają przygodnie, a że zarzucony nimi każdy muzyk, o tem wiemy choćby z interviewów i listów Mascagni'ego, który nie jest w stanie przejrzeć nawet jednej trzeciej nadsyłanych mu wciąż prac scenicznych.

Zwyczaj pisania kilku naraz oper pod jedno i to samo libretto mija stopniowo w miarę, jak coraz większą wagę muzycy zaczynają przywiązywać do tekstów. Wagner, a z nim i wszyscy nowsi kompozytorowie uważają muzykę jedynie jako wierną tłómaczkę akcyi scenicznej, otoczenia i stanów psychicznych bohaterów.

Wagner pisze w tej kwestyi: „Muzyka jest kobietą, to jest *miłością*. Jedynem jej zadaniem kochać i bez zastrzeżeń poddawać się temu, kogo wybrało jej serce. Jak nimfa, błądząca wśród

leśnych zaciszy, ożywia się ona i nabiera duszy dopiero w chwili, gdy poczuje, że jest kochaną. Obowiązkiem jej, prawem i przeznaczeniem poświęcenie: ta, której miłość niezdolną jest do poświęceń, nie kocha prawdziwie."

Czyli innemi wyrazy:

„Muzyka jest niewolnicą i winna słuchać, winna poddawać się ślepo poematowi, który illustruje. Jedyna jej rola — być wierną tłómaczką. Kompozytor znika chwilami wobec librecisty, narzucającego mu autorskie swe prawa i wymagania."

Wagner, tworząc sam mityczne teksty oper swoich, przestrzegał teoryi tej ściśle. Wpływ jego odbił się na całej rzeszy młodszych kompozytorów. W „Pajacach" i „Cavalerii" mamy dramaty muzyczne, tak silnie z tekstem zespolone, tak wiernie i dokładnie tłómaczące stany psychiczne bohaterów, iż chcąc pojąć dokładnie muzykę, z konieczności przestudyować należy wiernie libretto.

Mascagni i Leoncavallo odbiegli od teoryi *muzyka przyszłości* o tyle, iż obrali do oper swoich tematy realne, tętnem życia drgające. Wagner zaś, jak wiadomo, unikał wszelkiej powszedniości na scenie. Mit wydawał mu się odpowiednim jako treść opery, dlatego. że usuwając całkowicie konwencyonalną stronę stosunków światowych, wciela w siebie to tylko, co dostępne dla pojęć *czysto intelektualnych, ogólno-ludzkich, wiecznie zrozumiałych*, wciela w formie konkretnej, pochwytnej od pierwszego spojrzenia.

Druga różnica między mistrzem z Bayreuthu a młodymi włoskimi kompozytorami ta, że tamci zillustrowali walki i udręczenia bohaterów swoich szeregiem melodyj, których tło, nastrój, układ i harmonizacya przypominają wprawdzie Wagnera, które jednak, dzięki wyrazistości swej, skoncentrowaniu, sile i wykończeniu, nie dają podsunąć się pod ogólne teorye twórcy „Parsifala." Oto, co mówi on sam w danym razie:

„Melodya winna wywoływać nastrój duszy, podobny do tego, jaki budzi piękny las o zachodzie słońca w samotniku, znużonym gwarem miasta. Słuch takiego człowieka, nabierając stopniowo coraz większej przenikliwości, rozróżnia coraz dokładniej nieskończenie różne szmery leśne. Zdaje mu się, iż słyszy nawet takie, których nie chwytał dawniej nigdy. Wielka, jednolita melodya leśna budzi w nim wrażenie pobożnego skupienia, pozostawiając wiekuisty odgłos po sobie. Powtórzyć ją jednak niepodobieństwo, trzeba wrócić do lasu o zachodzie słońca, by usłyszeć ją na nowo. Szaleństwem byłoby z jego strony, gdyby chciał schwycić pierwszego lepszego ptaka leśnego, przynieść go do siebie i nauczyć się od niego jakiejkolwiek zwrotki z tej ogólnej wielkiej melodyi leśnej! Co usłyszałby wówczas? Włoską śpiewkę co najwyżej."

Złośliwi twierdzą, iż brak pomysłowości jedynie wpłynął na powstanie powyższych teoryi mistrza, tak samo jak nieumiejętność zestawienia głosów zbiorowych spowodowała nieskończone sola jego oper.

Do jakiegokolwiek obozu przystąpimy: fanatyków-wrogów, czy też fanatyków-przyjaciół Wagnera, przyznać musimy, iż twórczość jego była konieczną reakcyą przeciw mdłemu liryzmowi pierwszej połowy naszego wieku. Śmiałe, nieoczekiwane zwroty frazesów muzycznych, dysonanse i modulacye, nieoparte na prawach dotychczasowej toniki, stały się głównemi cechami panującego obecnie tak wszechwładnie dramatu w operze.

Dziwaczny charakter kompozytora, energiczna, niepowściągliwa działalność jego i skłonność do namiętnej polemiki jednały mu przyjaciół lub wrogów między ludźmi, częstokroć nic z muzyką wspólnego nie mającymi. Właściwy wpływ panteistycznej jego muzy okazuje się teraz dopiero, gdy do ubóstwiania jej nie zagrzewa ogniste pióro samego mistrza, a gdy pomimo to żywiołowym nastrojem twórczości jego rozbrzmiewają dzieła wszystkich współczesnych kompozytorów. Znajdujemy w nich zwykle to falowanie i kołysanie się dźwięków, tę szeroką, nieokreśloną, jednostajną w ruchu i kolorycie melodyę, przypominającą, jak chciał tego mistrz, nieskończoność.

Hanslick, niezbyt zresztą przychylnie dla twórcy „Nibelungów" usposobiony, twierdzi, iż łańcuch ewolucyi muzycznej łatwiej wyobrazić sobie można bez Mendelssohna a nawet Schumana, aniżeli bez tego dziwaka-psychopaty, przed którym jedni prozelitycznie schylają czoła, którego gradem klątw i złorzeczeń obsypują inni.

Zapowiedziany na rok bieżący cykl przedstawień wagnerowskich w Bayreucie wykaże, czy i o ile liczba przyjaciół mistrza wzrosła. Ci, którzy potępiają go najgorliwiej, ani wiedzą, jak dalece wpływ jego dosięga ich samych. Słowicze arye nudzą dziś już wszystkich. Orkiestrze przyznano berło panowania; tam gdzie ona stanowi mdły akompaniament lirycznych zwrotek jedynie, brak podniety, wstrząsającej nerwy. Słuchacz ziewa, i na przedstawieniu ckliwych „Purytanów," wzdycha do jaskrawej „Cavalerii" lub tragicznych „Pajaców."

Cecylia Walewska.

Zmarłe przedwcześnie.

(Dokończenie.)

Przewrót ekonomiczny, dokonywający się u nas od lat kilkunastu, przyłożył się do wytworzenia kilku nowych typów społecznych, które literatura belletrystyczna współczesna, chwyta chciwie, i wprost z życia przenosi na karty książek, lub deski sceniczne. Jednym z takich typów jest dziewczyna młoda, ze sfery średniej intelligencyi wiejskiej, rzucająca się w wir walk życiowych, dla ulżenia ciężaru rodzinie, niekiedy wprost dla podtrzymania jej bytu, dla ocalenia zagrożonego kawałka ziemi, lub zapewnienia światła młodszemu rodzeństwu.

Z mniejszą, lub większą dozą talentu malują nam tę postać powieściopisarze i noweliści, w rozmaity sposób plączą nitki jej losu, najczęściej gwoli dodania otuchy walczącym, i zabierającym się do walk podobnych, po przez drogi ciernistе prowadzą ją ku oazie szczęścia i zadowolenia z osiągniętego nakoniec celu. Ale tak czy owak, zwycięzona, czy tryumfująca, zawsze to ta sama bohaterska dziewczynka, mierząca „siłę na zamiary," zrywająca się do zadań prawie niewykonalnych, mundurek pensyonarski zamieniająca śmiało na szatę nauczycielki, studentki, artystki, literatki i t. d.

Niech nas nie dziwi, żetak uparcie zwraca się ku niej powieść współczesna. Powstałej z baśni, potrzeba żywiołu heroicznego. On warunkiem jej życia. A gdzież szukać go dzisiaj? Na martwej pustyni, pod szarem niebem dni naszych nie rodzi się heroizm. Ot w tej dziewczynce odkryła pierwiastek bohaterski, pochwyciła odważne dziecko, i zdobi mu czoło uplecionym przez siebie wieńcem. Lecz choć tak upodobała ją sobie, choć w swem zwierciadełku czarodziejskiem pokazuje nam nieustannie jej ducha w rozmaite przyodzianego kształty, nie można powiedzieć, byśmy ją przez to lepiej i bliżej poznali. Wdzięczny ten motyw nie został dotąd wyzyskany należycie. Żadna ze znanych ogólnie powieści typu młodziuchnej bojowniczki, nie odtwarza w sposób, z którego pokolenia późniejsze mogłyby powziąść o nim zgodne z prawdą wyobrażenie. Żadna nie wznosi się do tego stopnia artyzmu, na którym wszystkie cechy główne, charakterystyczne odtwarzanego przedmiotu występują wyraźnie, i składając się na obraz pełny, skończony, uderzają silnie myśl i wyobraźnię czytelnika.

Pojedyncze rysy rozproszone są tu i owdzie Na całość czekać trzeba jeszcze.

Tymczasem rzeczywistość ukazuje nam obrazy daleko bardziej zajmujące, sytuacye o wiele jaskrawsze, epilogi tragiczniejsze, od spotykanych w powieściach, osnutych na powyższym temacie, i ukazuje bardzo często. Bohaterskiej dziewczynki któż z nas nie znał w życiu. O ubogie, zniszczone sukienki jej ocieramy się codziennie na ulicy. Ją to widzimy schyloną nad gromadką dzieci, przypominających jej pozostawione w domu młodsze rodzeństwo. Jej to łkania tłumione słyszy nocami skromny, nauczycielski pokoik. Tam, po dniu spędzonym ze sztuczną pogodą i spokojem, z obowiązkowym uśmiechem na twarzy, płacze samotna, płacze łzami tęsknoty, niekiedy bólu, upokorzenia, rozpaczy. Jej to dusza wyrywa się do najmilszych, do swoich, może do drzew rodzinnej wioski, może do kogoś, co nawpół dziecinne serce opętał, i pozostał tam gdzieś, daleko. A może i ten ukochany i te pola miłe stracone dla niej na zawsze. Oderwała się od tego wszystkiego, i nie wróci już nigdy. Przed nią tylko praca, obowiązek, walka nad siły. Może, może... Życie, to powieściopisarz genialny, w pomysłach niewyczerpany.

Nauczycielstwo jest drogą najbardziej uczęszczaną przez młode robotnice, pragnące pracą swą podeprzeć zrujnowane gmachy przeszłości, lub wytworzyć przyjaźniejsze warunki dla powstającego dokoła nich życia. Ale najśmielsze z pośród nich nie puszczają się tym utartym gościńcem. Nauka, sztuka, literatura znajdują w nich adeptki wytrwałe, niezrażające się żadnemi trudnościami, nieustraszone. Czoła ich schylone nad księgami widują noce późne. Z młodzieńczych postaci ich praca myśli, niedostatek wysysają siły, zdrowie, krasę. Ich to twarze pobladłe wychylają się z okien wagonów, unoszących je w świat daleki. I w ich oczach płomień zapału, gaszą chwilami łzy tęsknoty za wszystkiem, czego odbiegły, gnane przeznaczeniem swojem, za wszystkiemi, których pożegnały na długo. Kto dojdzie, kto obliczy, ile męczeństwa jest w takich rozstaniach, ile boleści w ostatnim, pożegnalnym uścisku?! A jednak idą przed siebie. I dochodzą... niektóre. Inne giną w połowie drogi, z braku sił najczęściej, a czasem (los nie lubi się powtarzać), czasem w pełni sił jeszcze

usuwa je nagle z widowni świata tajemnicza dłoń przeznaczenia.

I wtedy sto pytań ciśnie się nam na usta.

Dlaczego odeszła ta młoda i silna? Dlaczego odeszła w chwili, gdy życie otwierało przed nią swe podwoje, i łudziło mirażami powodzenia, zwycięztwa? Dlaczego odeszła, skoro była miła ludziom i podobna do kwiatu, który jeszcze nie rozwinął wszystkich listków swoich, jeszcze nie zapachniał całą pełnią woni.

I nietylko żalem, lecz i dreszczem zgrozy przejęci stajemy wobec takiej mogiły. Na pytania nasze nie ma odpowiedzi. Zagadkowe sfinksy życia i śmierci milczą.

Taką zagadką okropną, taką tragedyą tajemniczą, była śmierć młodej powieściopisarki Maryi Paprockiej, pisującej pod pseudonimem „Znicz” lub „Płomieńczyk.”

Młoda, pełna zapału, wiary w siły swoje rzuciła się w świat. Za nią, we wspomnieniach szumiał bogaty, sandomierski łan, widniał obraz schorzałego ojca, rodziny, której pragnęła przyjść z pomocą. I szła odważnie, z podniesioną głową, z pogodą w duszy.

Początkowo pociągnęła ją ku sobie praca nauczycielska. W jakiś czas później przeszła śmiało na pole zapasów literackich. W tym świecie często tak niewyrozumiałym i bezlitośnym dla stawiających pierwsze kroki, spotkało ją przyjęcie życzliwe. „Ateneum,” „Tygodnik Illustrowany,” „Kuryer Codzienny,” drukowały pierwsze jej utwory.

Krytyka przyznawała jej talent, i pierwsza jej książka, powieść p. t. „Fałszywe dźwięki” znalazła niejedną ocenę przychylną. Przyszłość pełna sławy, wziętości, uznania uśmiechała się młodej autorce. Najpogodniejsze horyzonty zdawały się otwierać przed nią. Nie dziw że „Uśmiechem życia” ochrzciła jedną z ostatnich prac swoich. Wyrazy te widniały jeszcze na szpaltach pisma drukującego opowieść o wdzięcznej „Panience z klasztoru,” gdy nad twórczynią jej śmierć wyrzekła już tajemnicze słowo swoje.

Ci, co spędzili z nią chwile ostatnie, opowiadają: śmiech miała na ustach, w myśli plany dalekiej podróży, wycieczek w góry Tatrzańskie, które miały dostarczyć wrażeń do przeznaczonej na konkurs powieści—w duszy radość, wesele.

W kilka godzin później toczyła walkę z chłodną otchłanią wodną, walkę rozpaczliwą, śmiertelną W nurtach Styru zgasł płomień życia, marzeń o sławie, pragnień szlachetnych, uczuć gorących. Nad tem wszystkiem unosi się dziś milczenie śmierci.

H. C.

ZKĄD SIĘ BIORĄ PRZESTĘPCY?

Obrazek z niedawnej przeszłości.

(Ciąg dalszy)

Takimi wykrzyknikami przyjęła gromada odkrycia Grzegorzowej. Zrazu szeptano o tem po cichu, potem coraz głośniej, a wreszcie odsunięto się od Góreckich, bo choć nikt sformułować nie umiał, czego chce od nich, ale przy niechęci, jaką zrodziły ciągłe stosunki Kajetana z dworem i probostwem, każda pogłoska, potwarz czy podejrzenie, choćby najniedorzeczniejsze, znajdowały chętne ucho gromady.

W opowiadaniu Grzegorzowej prawdą było tylko to, że faktycznie przyswoił sobie Józiek jastrzębia, i że go ogromnie radowało to, co mu w oczach ludności Poręby tak źle usłużyło. Resztę stworzyła w części złośliwość, w części bujna wyobraźnia starowiny, a łatwowierność i zabobon ludzki przyjęły to z najlepszą wiarą.

Takiem było to chłopię, które kilku rysami pokazaliśmy czytelnikowi

Czy różnił się Józiek tak dalece od całej rzeszy rówienników?

Gotowibyśmy powiedzieć, że różnice w składnikach tych organizmów były tylko ilościowe; podścielisko, tło, właściwości ustroju — jedne i te same. Więcej zdolności wrodzonych — więcej rozpędu i śmiałości — oto wszystko.

Powietrza takim płucom — przestrzeni dla takiego rozpędu — promienia światła dla takich samorodnych intuicyj.

Przedewszystkiem, jak to słusznie twierdził proboszcz, nie powinien się on był z tymi darami rodzić pod chłopską strzechą, a przytem zaszła teraz niespodziewana, wielka na niekorzyść zmiana w jego losach. Czternastu lat nie miał jeszcze chłopiec, kiedy mu przyszło stracić ojca. Kajetan Górecki umarł nagle, można powiedzieć tragicznie, umarł ku wielkiemu żalowi właściciela i proboszcza Poręby; ale dla dziecka i wdowy jego ta strata nie miała innego znaczenia, jak wogóle u ludu śmierć ojca rodziny. Żył, pracował, było z nim dobrze — zabrakło go, w takim razie inaczej układają się warunki bytu dla wdowy — inaczej dla dziecka. Kobieta wiejska wogóle dużo biada w takich wypadkach, ale się pociesza rychło; z dziećmi bywa bardzo rozmaicie, a jak w tym razie to śmierć ojca wywarła na Józku tylko jakiś rodzaj osłupienia bezświadomego, z którego on tylko tyle się domyślał, że coś dla niego skończyło się nieodwołalnie.—Czem było to, co się przerwało raptownie — nie wiedział.

Opieka nad dzieckiem i wdową znalazła się na razie i hojna była nawet bardzo, ale lepiej może byłoby dla nich obojga, żeby w tem przejęciu się mniej było szczodrobliwości, a więcej wytrwania i pamięci. Było to tem potrzebniejsze, że reszta gromady przychylnemi uczuciami dla Góreckich nie odznaczała się wcale, a śmierć tego stosunku nie poprawiła bynajmniej.

Nie upłynęło pół roku od chwili, w której Józiek został sierotą, a pewnego wieczora w rozmowie z właścicielem Poręby odezwał się stary proboszcz:

— Wiesz jegomość, że to bieda będzie z tą Górecką.

— No, no?

— A cóż, tak jak to u nich zawsze. Przyjęła ona niby sobie parobka, no, bo i nie mogła inaczej zrobić; raz że ten chłopiec za mały, a zresztą nie bardzo on się tam i bierze do roboty, ale to wszystko trzeba było inaczej. Ten parobek, człowiek niewiadomo zkąd; jej się to podobało, że to krewniak niby—że się tak samo nazywa, a mnie się on od pierwszego wejrzenia nie udał. Z podełba patrzy, obieżyświat jakiś, mówca, i wogóle zanadto przedsiębiorczy, a tu w Porębie właśnie zaczynają go słuchać i uważać bardzo.

— To jej się tam powie kiedy, żeby pomyślała o kim innym.

— Ba! czekajże jegomość; powie się, ale to już chyba zapóźno na takie powiedzenie teraz.

— Jakto zapóźno?

— No, rozumie się. Dzisiaj przychodzi do mnie, biada, kołuje, opowiada, że się dobytek marnuje, że chłopiec nijakiego posłuchu nie zna, pyta niby o radę, a tu ona ma na te wszystkie nieszczęścia radę gotową za pazuchą.

— Ale o co jej chodzi?

— Chodzi jej o to, że ona jest sierota, i że jej potrzeba przyjaciela.

— A tym przyjacielem ma być ten Górecki II-gi?

— A jakże.

— No i cóż ja na to poradzę? Mój proboszczu, nie od dzisiaj patrzysz się na lud, znasz jego potrzeby i obyczaje i sam wiesz, że to jest wszystko w porządku rzeczy. Co tu za rada? Przyjdzie czas, dasz im proboszcz ślub i będzie z niemi to co z resztą.

— A ba! Prędko jegomość zrezygnowałeś. A dziecko?

— Cóż dziecko? Krzywdy mu zrobić nie pozwolimy, o ile to od nas zależeć będzie; zresztą dam co będzie trzeba, no i co będzie można.— Dodał z zastrzeżeniem pewnem.

— A jak nie będzie można?

— Oh, za daleko idziemy w przewidywaniach. Tak źle z nami nie jest jeszcze.

— Za pozwoleniem, mówmy spokojnie. Masz jegomość czy nie masz pewnych obowiązków dla dziecka?

— Dajmy na to, że mam.

— No jeżeli masz, to rób co ci sumienie dyktuje, a nie odkładaj, bo tym sposobem marnieją najlepsze chęci.

Rozstali się chłodniej niż zwykle, a rzeczy poszły sobie biegiem naturalnym.

Nie upłynęło pół roku a chłopiec miał ojczyma w chacie, ale w tej chacie po kilku już miesiącach zabrakło dla niego miejsca. Oddano Józka do służby na drugą wieś, gwoli owego niby posłuchu i tej roboty, której się w domu nauczyć nie chciał. Rozumie się, że dziecku wziętemu z nieograniczonej prawie swobody, nawyknąć do posłuszeństwa było trudno, że robota była ladajaka, że się z dniem każdym zniechęcał bardziej i coraz więcej zniechęcał ludzi do siebie.

— Taki to niby gospodarz na całą wieś był ten Górecki z Poręby — mówili ludzie w tamtej wsi,—a dziecko wychował pożal się Boże. Ogląda się licho wie za czem i ledwie, że ludzką mowę rozumie.

Fakt był, że Józiek oglądał się ciągle, że myślą był gdzieindziej; oglądał się za temi błoniami zielonemi, których mu nie stało, za lasem i rzeką na które nawykł patrzeć od dzieciństwa, a że się jego dola wraz z życiem ojca skończyła, więc coraz częściej myślał o tym ojcu, którego mu brak było, i o tej chacie własnej z której go złe losy wygnały.

Razu pewnego w niedzielę po nieszporach wyszedł stary proboszcz z Poręby na późną przechadzkę jak to u niego było we zwyczaju, a że mu na myśl przyszedł Józiek sierota, więc obrał sobie drogę do poblizkiej wioski, aby się coś o nim dowiedzieć. Traf zdarzył, że nawet na miejsce trudzić się nie potrzebował.

Nie daleko po za kopcem granicznym zastał chłopca leżącego na ziemi, na wysokiem płaskowzgórzu, porosłem jałowcem i rzadką karłowatą sośniną.

— A ty co tu robisz? — pytał ksiądz zdziwiony, widząc, że dzieciak jest sam jeden; wiejskie dzieci wogóle unikają samotności.—Co tu robisz? — powtórzył zapytanie, widząc że chłopiec się nie rusza, a oczy ma nieruchomo skierowane w jedną stronę.

— Patrzę i patrzę — była odpowiedź.

— A cóż ty ztąd widzisz?

— A dyś tę gruszę wysoką co za naszą stodołą stoi.

Księdzu zrobiło się smutno, powiedział dziecku kilka słów przychylnych, starał się zostawić mu jakąś otuchę; Józiek nie zdawał się rozumieć. Nie spodziewał się widać nic od ludzi, bo miał oczy chmurnie opuszczone ku ziemi i milczał uporczywie.

I znowu przyszło się proboszczowi zetrzeć z kolatorem o tego Józka biednego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Nauka i Wykształcenie.

Majstrowie warsztatów szkolnych (Smolna numer 14) przyjmują, poczynając od dnia 4 Listopada r. b. chłopców na naukę rzemiosł. Tamże robić można obstalunki wchodzące w zakres stolarstwa, ślusarstwa, kowalctwa, giserstwa i tokarstwa. Zgłaszać się należy z kandydatami do kancelaryi zarządu Smolna numer 11, a z obstalunkami do warsztatów Niższej szkoły Technicznej, Smolna numer 14. Zwraca się uwagę rodziców i opiekunów, którzy radziby nauczyć dziecko rzemiosła, że tą tylko jedną drogą dojść można szybko do celu, oszczędzając kandydatowi paru lat, które marnuje zazwyczaj w tak zwanym terminie.

Zdrowie publiczne.

Podług ostatniego wykazu urzędu lekarskiego, sporządzonego na mocy sprawozdań szpitalnych i zawiadomień lekarzy praktykujących, zapadło w ostatnim miesiącu w Warszawie na choroby zakaźne ogółem 480 osób, z których zmarło 159. Panowały: ospa, szkarlatyna, błonica i koklusz.

Instytut medycyny eksperymentalnej w Petersburgu, zawiadamia w „Prawitielstwiennym Wiestniku," że sprzedaje wyprodukowaną własnem staraniem surowicę przeciwbłonicową po rublu 1 flakon. Gdyby apteki nasze zaopatrzyły się w ten surrogat, a w dodatku pomyślano o jakiemś popularnem dziełku objaśniającem jego stosowanie, mogłoby to przynieść pewne korzyści okolicom, w których czas potrzebny na sprowadzenia lekarza w wypadkach gwałtownego dyfterytu, robi często bardzo tę pomoc już zupełnie zbyteczną.

Dobroczynność.

Towarzystwo przeciwżebracze urządza w Brwinowie na gruncie w części darowanym, w części nabytym, kolonią dla starców i kalek nieuleczalnych.

Warszawski dom przytułku dla sierot po robotnikach, liczy obecnie pensyonarzy stałych 30, oprócz 10, których oddano dla nauki rzemiosła po za obręb zakładu.

Literatura i Sztuka.

Ukazały się w druku:

„Odsiecz Wiednia," poemat Deotymy.

„Zbiorek poezyi," Wandy Krasuskiej.

„Album fotograficzne widoków Warszawy," wydane przez zakład Trzcińskiego.

Rodzina ś. p. Stanisława Moniuszki, jak zapewniają, zrzekła się prawa własności utworów zmarłego mistrza na rzecz „Sekcyi Moniuszkowskiej," istniejącej przy warszawskiem Towarzystwie muzycznem

Praca kobiet.

W poszukiwaniu pracy zawodowej zwracać zaczyna uwagę kobieta nasza na gałęzie pomocnicze gospodarstwa rolnego. W muzeum pszczelnictwa i ogrodnictwa znajdujemy pokaźną jak na początek ilość kobiet, które na drodze praktycznej obznajmiają się z produkcyą owoców i warzyw, ogrodnictwem kwiatowem i dekoracyjnem, chodowlą pszczół, nie zapominając przytem i o jedwabnictwie, jako jednem z przypuszczalnych w przyszłości źródeł krajowej wytwórczości. Szczęśliwa myśl połączenia w jedno tych trzech odrębnych profesyj, pozwala kobiecie usposobić się nietylko jako posiadaczce realności ziemskiej, zdolnej kontrolować podwładną służbę, ale nadto daje możność pracowniczkom zamiłowanym zrobienia sobie z tego fachu specyalności mogącej zapewnić byt niezależny.

Nie dowodzi niczego, żeśmy dotąd nie mieli kobiet-ogrodników, i ktoby z tak marnego względu wychodząc chciał krytykować te usiłowania kobiet naszych potrzebujących chleba, temu słuszności żadnej przyznaćby nie można. Kobieta może być równie dobrym ogrodnikiem i pszczolarzem jak mężczyzna, jest to zresztą zajęcie zgodne z jej ustrojem fizycznym w zupełności, i niechybnie znaleźć powinna na tej drodze i byt dostatni i zadowolenia moralne.

Widać zresztą, że tak rozumieją tę rzecz kobiety, skoro na 53 kandydatów oddających się praktyce w Muzeum pszczolnictwa i ogrodnictwa jest 30 kobiet, pracujących ochoczo i z zamiłowaniem—nie sromających się roboty grubej i ciężkiej, byle zdobyć sobie wiadomości pożądane.

Życzymy szczerze powodzenia im samym, i tym wszystkim, które w ich ślady wstąpić zechcą w przyszłości.

Sprawy miejskie.

Towarzystwo złożone z kapitalistów miejscowych, które wzięło sobie jako zadanie eksploatowanie wynalazków i zastosowań w dziedzinie elektryczności, opracowywa obecnie plan wprowadzenia w Warszawie tramwajów elektrycznych.

Znana tutejsza firma Herse, nabyła posesyą przy zbiegu ulic Marszałkowskiej, Erywańskiej i Placu Zielonym. Po rozebraniu istniejącej obecnie budowli ma tam być wzniesiony gmach, który pomieści sklepy, zakłady i magazyny firmy. Będzie to więc coś w rodzaju wielkich domów konfekcyi damskiej, z których słyną stolice Europy, a które z takiem mistrzowstwem opisane są przez Zolę.

Byłoby jednak do życzenia, aby z pod pióra tego, co w przyszłości podejmie trud opisania Warszawskich „Au bonheur des dames," wyszła tutejsza kobieta mniej zdegradowaną, niż wychodzi francuzka u Zoli.

Wystawy.

14 Listopada otwartą będzie w Bagateli wystawa złocieni (chrysanthemów) w połączeniu z wystawą płodów ogrodniczych jesiennych, wraz z konkursem dla chrysanthemów, warzyw i owoców. Wystawa trwać będzie dni 3.

Na wiosnę roku przyszłego ma Warszawa zapowiedzianą wystawę introligatorską. O ile dzisiaj już wiadomo, obejmie ona działy: maszyn i narzędzi używanych w introligatorstwie — statystykę dotyczącą tego fachu — zbiór historyczny dawnych opraw — wzorowe okazy, poczynając od starych, aż do najnowszych — nadesłane z zagranicy wzory ostatnich udoskonaleń — introligatorstwo galanteryjne — księgi i utensylia biurowe.

Na wystawie berlińskiej otrzymali zaszczytne odznaczenia dwaj rodacy nasi a mianowicie: inżynier Kosiński za maszynę do osuszania mieszkań i pan Andrzejewski za studnie własnego pomysłu.

Zmarli.

Eugeniusz Skrodzki w wieku lat 75. Znany czytelnikom pism naszych pod pseudonimem Wielisława.

Feliks Ehrenfeucht publicysta.

Wskazówki i rady.

Dwa krupniki na inny sposób.

Tyle jest sposobów gotowania krupniku, że jeden i drugi więcej nie zawadzi. Użyć drobnej jęczmiennej lub owsianej kaszy z masłem, tak aby rumiana była, biorąc na 4 osoby kwaterkę, dołożyć poszadkowanej włoszczyzny, gdy na pół uprużona włożyć masła niech się razem pruży. Kości i odpadki od mięsa ugotować oddzielnie z włoszczyzną i solą. Miękką zupełnie kaszę przefasować tym smakiem i zagotować. W wazie rozbić najmniej dwa żółtka prawie na pianę, i wtedy gotującą się zupą mieszając ciągle łyżką w wazie rozbierać ubite jajka. Podać z grzankami w kostkę.

Drugi krupnik postny.

Rozgotować kwaterkę bardzo ładnej, drobnej kaszy perłowej z włoszczyzną w całości, aby ją można wyrzucić. Włożyć dużą łyżkę masła, z którem się powinna gotować do rozgotowania, w końcu dopiero posolić. Gdy zupełnie miękka rozbić można kaszę w garnku, odlewając rzadki płyn w czasie rozbijania, następnie dolać i zagotować. W wazie rozbić trzy żółtka z pół kwaterkiem dobrej, słodkiej śmietanki i pietruszką. Postawiwszy wazę na blasze, aby była ciepła i wtedy w rozbite żółtka lać gotującą zupę, mieszając ciągle łyżką.

Bardzo dobra zupa.

Odp. obywatelkom z okolic Częstochowy. Żądany przepis znajduje się w 16-tem wydaniu „Jedynych praktycznych przepisów," oddział 6, str. 144.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

☞ **Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.**

Właściciel firmy w Hotelu Europejskim

LUDWIK BURGHARDT

wyjechał do Paryża po artykuły nowości na nadchodzący Karnawał.

Pracujący w firmie **Ludwik Burghardt** fryzyer damski

JAN SMOSARSKI

wyjechał do Paryża w celu zwiedzenia pierwszorzędnych zakładów fryzyerskich specyalnie **damskich** i studyowanie nowych coiffur.

52711

NAJWYŻEJ ZATWIERDZONE TOWARZYSTWO AKCYJNE

pod firmą:

„St.-Petersburskie Laboratoryum Chemiczne"

St.-Petersburg, Izmajłowski Prospekt Nr 27, dom własny,
założone w 1860 roku.
nagrodzone złotym medalem na wystawie w Paryżu w 1889 roku.

OCET TOALETOWY,

którego różne kosmetyczne własności uczyniły niezbędnym przedmiotem toaletowym.

Ocet Toaletowy „Violette de Parme."
Ocet Toaletowy Karbolowy.
Ocet Toaletowy de la Noblesse.

Wyroby ***„St.-Petersburskiego Laboratoryum Chemicznego"*** nabywać można we wszystkich znaczniejszych Perfumeryach i składach Aptecznych. Kupujący raczą zwracać uwagę na obok zamieszczoną markę fabryczną i żądać wyraźnej firmy:



„St.-Petersburskie Laboratoryum Chemiczne,"
posiadającej **Skład Hurtowy tylko**

u p. PAWŁA WOLLENBERGA

w Warszawie, przy ulicy Żabiej № 3, (od Przechodniej № 4).
a nie zaś — sklep detaliczny.

52511 ***Handlującym wysyła się cenniki bezpłatnie.***

№ 4711. **MYDŁO DZIECINNE** № 4711.

(PRZESYCONE TŁUSZCZEM mydło tymolowe przygotowane podług przepisu d-ra med. **Eichhöffa,** naczelnego lekarza oddziału chorób skórnych w szpitalu miejskim Elberfeldzie). Nadzwyczaj delikatne **MYDŁO TOALETOWE** i z tego powodu zalecane do codziennego użytku jako dające się zastosować do każdej skóry a specyalnie do delikatnej damskiej i dziecinnej.

☞ Fabrykacya tego mydła odbywa się pod stałym nadzorem farmaceutów. Mydło dziecinne sprzedaje się przeważnie w aptekach i składach aptecznych. Przy kupnie prosimy zwracać uwagę na zatwierdz. fabrycz. markę **Nr 4711.**

51625

FABRYKA KAPELUSZY DAMSKICH

Magazyn Główny

5. ŻABIA 5.

Największy wybór kapeluszy ubranych damskich oraz dziecinnych od skromnych do najwykwintniejszych, czapeczek futrzanych, mufek i kołnierzy. Specyalność fabryki kapelusze felpowe.

Roman Dąbrowski.

10133

SPECYALNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

Emilii EHRENKREUTZ

Mistrzyni Cechu.

W WARSZAWIE, ZGODA 3, CHMIELNA 24.

Przygotowywa gruntownie i wyzwala na mistrzynie i podmistrzynie. Pensyonat przy szkole oraz pracownia sukien i okryć Fasony są do nabycia.

52611

MEDAL ZŁOTY 1896 R.

WYŚMIENITE i udelikatniające

MYDŁO TATRZAŃSKIE

WYŁĄCZNA WŁASNOŚĆ

WARSZAWSKIEGO LABORATORYUM CHEMICZNEGO

Z ZAPACHAMI

Fijołka, Konwalii, Buk. Tatra i Róży

Cena kawałka 15 k., najwyższy gatunek 25 k. i 45 k.

523110 Dostać można we wszystkich ważniejszych perfumeryach.

MEDAL ZŁOTY 1896 R

MAGAZYN DZIECINNY

Z. ŁASKIEJ,

dawniej **Chmielna 18,** obecnie **Marszałkowska 101**
Największy wybór gotowej konfekcyi dziecinnej. Przyjmują się obstalunki. CENY BARDZO NIZKIE.

48158

SPECYALNY MAGAZYN

OKRYĆ I FUTER DAMSKICH

A. Łojewskiej

10. BRACKA 10.

497610

Poleca **NOWE** fasony okryć jesiennych i zimowych, podług modeli paryskich od skromnych do najstrojniejszych. Żakiety od rs. 11, Burki od rs. 15, Peleryny od rs. 6. Rotundy, Paletoty na futrach i wacie. Oprócz gotowych rzeczy wielki wybór materyałów, z których przyjmuje obstalunki.

SPECYALNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

M-me TISSERANT

Mistrzyni Cechu,

W WARSZAWIE, ZŁOTA Nr 34.

49624

Przygotowywa gruntownie i wyzwala na mistrzynie i podmistrzynie. Pensyonat przy szkole oraz pracownia sukien i okryć. Fasony są do nabycia.

Warszawa, ulica DŁUGA № 5.



TELEFONU № 772.

WINA ZAGRANICZNE,
Koniak „IMPERIAL."
Wybór wielki. — Ceny najniższe. 417202

KSIĘGARNIA

GEBETHNERA i WOLFFA

w Warszawie,

poleca:

Po zdrowie, powieść *Exterusa* rs. 1.20
Bluszcz, historya małżeńska, *M. Gawalewicza.* 1.20
Cudak, powieść *M. Gawalewicza.* 1.20
Szubrawcy, powieść *M. Gawalewicza,* 3 tomy. 3.—
Klęska, powieść *K. Glińskiego.* 1.—
Tarantula, powieść prawdziwa *K. Glińskiego.* 1.40
Jak cień, powieść *Hajoty.* 1.20
Na służbie, powieść *Z. Kowerskiej,* dwa tomy. 2.—
Znane dzieje, powieść. **Płoteczka.—Niańta.—Piotr i Paweł,** *Z. Kowerskiej.* 1.20
Szary wilk, powieść historyczna *A. Krechowieckiego.* Wydanie II-gie. 1.50
Melancholicy, nowele *E. Orzeszkowej,* 2 tomy. 2.—
Treść: I. Z pomroku. — Jedna setna. — Światło w ruinch. — Ogniwa. II. Ascetka. — Wielki. — Bracia.
Kroniki 1875 — 1878 *B. Prusa.* (Al. Głowackiego). 2.—
Pierwsze opowiadania *B. Prusa* (Al. Głowackiego). Wydanie II-gie. 1.50
Placówka, powieść *B. Prusa* (Al. Głowackiego). Wyd. IV-te, przejrzane. 1.50
Komedyantka, powieść *Wł. St. Reymonta.* 1.50
Na wyżynach, powieść *M. Rodziewiczównej.* 1.50
Wojna w czasie pokoju, opowiadanie *Zofii Urbanowskiej.* 1.50.

MAGAZYN FUTER I KONFEKCYI DAMSKIEJ

JAKUBA PAWEŁEK

ulica Czysta Nr 6.

Ma zaszczyt polecić wielki wybór wszelkiego rodzaju futer krajowych i zagranicznych w najlepszych gatunkach. Przyjmuje obstalunki na wszelkie okrycia damskie, jako to: rotundy, palta, żakiety, peleryny etc., podług najświeższych francuzkich i angielskich mód, oraz futra męzkie, palta i marynarki futrzane, płaszcze i t. p., które wykonywa jaknajstaranniej po cenach najprzystępniejszych.

50035

Lekcye Tańców tanio!

w domach prywatnych i pensyach.
Aleksandrya 20, Czarnecki. 51435

Zaprawa politurowa w massie na posadzki i podłogi, bezbarwna i w kolorach, fabryki Feliksa Waręskiego, Tłomackie № 13.

Дозволено Цензурою, Варшава 22 Октября 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**